

Czy państwo powinno dotować sztukę?

23 listopada 2020

Z pewnością można przytoczyć wiele argumentów za i przeciw.

Dla poparcia systemu dotacji można powiedzieć, że sztuka uwzniośla, kształci i upiększa ducha narodu, że odrywa go od trosk materialnych, dając mu poczucie piękna i tym samym wpływa korzystnie na jego maniere, upodobania, obyczaje, a nawet przemysł. Można się zastanawiać, jaka byłaby muzyka we Francji, gdyby nie było Teatru Włoskiego i Konserwatorium; jaka byłaby sztuka dramatyczna bez Teatru Francuskiego; malarstwo i rzeźba bez naszych galerii i muzeów. Pójdźmy jeszcze dalej i zastanówmy się, czy gdyby nie było centralizacji i co za tym idzie, dotowania sztuk pięknych, rozwinąłby się ten wykwintny gust, który jest szlachetnym przymiotem francuskiej pracy i sprawia, że francuskie towary są obecne na całym świecie. Czy w obliczu takiej sytuacji nie byłoby wysoce nieostrożne rezygnować z tej skromnej składki wszystkich obywateli, która koniec końców przynosi im sukces i chwałę w sercu Europy?

Tym racjom, jak i wielu innym, nie odmawiam słuszności, ale można im przeciwstawić racje nie mniej uzasadnione. Na początku pojawia się problem tak zwanego sprawiedliwego podziału. Czy prawo ustawodawcy sięga tak daleko, by uszczuplać płacę rzemieślnika na korzyść artysty? Pan de Lamartine mawiał: „Jeżeli zniesiecie dotacje dla teatru, w którym miejscu tej drogi się zatrzymacie? Czyż logika nie podpowie wam, by likwidować uczelnie, muzea, instytuty i biblioteki?”. Możemy odpowiedzieć: „Jeśli chcecie dotować wszystko, co jest dobre i pożyteczne, w którym miejscu tej drogi się zatrzymacie? Czyż logika nie podpowie wam, by upaństwowić rolnictwo, przemysł, handel, dobroczynność, szkolnictwo?”. Co więcej, czy pewne jest, że dotacje sprzyjają

rozwojowi sztuki? Ta kwestia jest daleka od rozwiązania, a my na własne oczy widzimy, że dobrze prosperują te teatry, które żyją własnym życiem. Przejdźmy wreszcie do wyższych racji. Daje się zauważyć, że potrzeby i pragnienia rodzą się jedne z drugich i stają się coraz bardziej wyrafinowane, w miarę jak zamożność społeczeństwa jest w stanie je zaspokajać. Rząd w tę zależność mieszać się nie powinien, ponieważ przy danym stanie majątku nie może przez podatki pobudzać rozwoju luksusowych gałęzi przemysłu bez negatywnego wpływu na przemysł artykułów pierwszej potrzeby. Zakłócałby w ten sposób naturalny postęp cywilizacji. Można zauważyć, że takie sztuczne przenoszenie potrzeb, gustów, pracy i populacji, stawia narody w niepewnej i niebezpiecznej sytuacji, która nie ma już solidnej podstawy.

Oto kilka argumentów, które przytaczają przeciwnicy interwencji państwa, jeżeli chodzi o kolejność, w jakiej obywatele pragną zaspokajać swoje potrzeby i pragnienia i w konsekwencji kierować swoimi działaniami. Przyznaję, że należę do tej grupy ludzi, którzy uważają, że wybór, impuls, winien pochodzić z dołu, nie z góry, od obywateli, nie od ustawodawcy. Moim zdaniem, przeciwna doktryna prowadzi do zniszczenia wolności i godności człowieka.

Jednak drogą fałszywego i niesprawiedliwego rozumowania, pod adresem ekonomistów padają zarzuty. O co się nas oskarża? O to, że odrzucając dotację, odrzucamy jednocześnie samą rzecz, która ma podlegać dotacji, że jesteśmy wrogami wszelkiego rodzaju działalności, ponieważ chcemy, by ta działalność była z jednej strony wolna, a z drugiej sama poszukiwała dla siebie zapłaty. Kiedy domagamy się, by państwo nie interweniowało, za pośrednictwem podatków, w sferę religii – jesteśmy ateistami; kiedy żądamy, by państwo nie wkraczało w sferę edukacji – jesteśmy wrogami nauki; kiedy głosimy, że państwo nie może przez podatki sztucznie zawyżać wartości ziemi bądź jakiejś gałęzi przemysłu – jesteśmy wrogami własności i pracy; kiedy sądzymy, że państwo nie powinno dotować artystów – jesteśmy barbarzyńcami, którzy uważają, że sztuka to coś zupełnie

niepotrzebnego.

Ze wszystkich sił protestuję przeciwko tym oskarżeniom.

Dalecy jesteście od absurdałnego pomysłu, by niszczyć religię, edukację, własność, pracę i sztukę. Domagamy się jednak, by państwo chroniło swobodny rozwój tych wszystkich rodzajów ludzkiej działalności, nie finansując jednych kosztem drugich. Przeciwnie, jesteście przekonani, że w wolnym społeczeństwie same rozwijałyby się harmonijnie i że żadne z nich nie stałoby się, jak to dzisiaj obserwujemy, źródłem zamętu, nadużycia, tyranii i nieporządku.

Nasi przeciwnicy sądzą, że działalność, która nie jest ani finansowana, ani regulowana przez państwo, jest skazana na upadek. My uważamy, że jest wręcz przeciwnie. Oni wierzą w ustawodawcę, a nie w ludzi. My wierzymy w ludzi, a nie w ustawodawcę.

Pan de Lamartine mawiał: „W imię tej zasady należy zlikwidować publiczne wystawy, które są dumą i świadczą o bogactwie tego kraju”.

Odpowiadam panu de Lamartine'owi: „Z pańskiego punktu widzenia, brak dotacji oznacza likwidację, ponieważ wychodząc z założenia, że wszystko istnieje tylko z woli państwa, dochodzi pan do wniosku, że nic nie może istnieć bez podatków. By udowodnić, że tak nie jest, posłużę się przykładem, który sam pan wybrał. Pragnę zauważyć, że największa, najszlachetniejsza wystawa to ekspozycja, która jest przygotowywana w Londynie. Została ona pomyślana w duchu najbardziej liberalnym, najbardziej uniwersalnym, w duchu humanitarnym, a użycia tego słowa nie uważam za przesadę. To jedyna wystawa, do której nie miesza się rząd i która nie jest finansowana z żadnych podatków”.

Wracając jeszcze do sztuk pięknych, można, powtarzam to raz jeszcze, przytoczyć mocne argumenty za i przeciw systemowi dotacji. Czytelnik rozumie, że przedmiotem tej rozprawy, ani

też moim zamiarem, nie jest uwypuklanie tych argumentów i rozsądzanie, który z nich jest słuszny.

Ale pan de Lamartine wysunął tezę, której nie mogę pominąć milczeniem, gdyż ściśle dotyczy ona tejże ekonomicznej rozprawy.

Powiedział: „W zakresie teatrów kwestia ekonomiczna streszcza się do jednego słowa: praca. Nie jest istotna natura owej pracy, jest to praca równie płodna, równie produktywna, co każdy inny rodzaj pracy w kraju. Jak wiecie, teatry żywią i utrzymują we Francji nie mniej niż osiemdziesiąt tysięcy pracowników różnych zawodów: malarzy, murarzy, dekoratorów, krawców, architektów itd., którzy ożywiają wiele dzielnic tej stolicy, i z tego tytułu winniście im swoją sympatię!”

Swoją sympatię – należy rozumieć: wasze subwencje.

I dalej: „Uroki Paryża dają francuskim departamentom pracę i utrzymanie, a zbytki bogacza to płaca i chleb dla dwustu tysięcy pracowników, żyjących z tak różnorodnego przemysłu teatralnego na obszarze Republiki. Dzięki tym szlachetnym przyjemnościom, które oświecają Francję, oni, ich rodziny i dzieci mają zapewniony byt. To właśnie do nich trafi owe sześćdziesiąt tysięcy franków (Brawo! Brawo! Liczne oznaki aprobaty”).

Ja zaś jestem zmuszony powiedzieć: „To bardzo źle! Bardzo niedobrze!” Ograniczam oczywiście ten osąd do argumentacji ekonomicznej, o której tutaj mowa.

Owszem, owe sześćdziesiąt tysięcy franków, przynajmniej w części, trafi do pracowników teatrów. Trochę może zawieruszy się po drodze. Gdybyśmy dokładnie zgłębili ten problem, być może odkrylibyśmy, że ciastko powędruje gdzie indziej, a robotnicy będą musieli się cieszyć, jeżeli pozostanie dla nich trochę okruchów! Przypuśćmy, że cała dotacja trafi do malarzy, dekoratorów, krawców, fryzjerów itd. To jest to, co widać.

Ale skąd pochodzą owe pieniądze? Oto odwrotna strona medalu, nie mniej ważna. Gdzie jest źródło owych sześćdziesięciu tysięcy franków? I gdzie trafiłyby te pieniądze, gdyby wynik głosowania nie wysłał ich najpierw do ministerstwa finansów, a stamtąd do zarządu teatrów? To jest to, czego nie widać.

Z pewnością nikt nie ośmieli się stwierdzić, że te pieniądze zrodziły się w urnie podczas głosowania; że są czystą nadwyżką narodowego bogactwa; że gdyby nie to cudowne głosowanie, nikt by ich nie widział ani nie dotknął. Trzeba przyznać, że wszystko, co mogła zrobić większość parlamentarna, to zdecydować, że zostaną zabrane z jednego miejsca i przekazane w drugie i że można je skierować na daną drogę tylko dlatego, iż zostały zawrócone z innej.

Jeżeli tak się rzeczy mają, to jest sprawą jasną, że obywatel, który zapłacił podatek w wysokości jednego franka, nie będzie już mógł dysponować tą kwotą. Jest oczywiste, że nie będzie już mógł jej wydać zgodnie ze swoim upodobaniem i że robotnik, obojętnie jaki, który miał wykonać pracę, w tej samej mierze będzie pozbawiony zapłaty.

Nie ulegajmy zatem iluzji i nie wierzymy, że głosowanie poprawia w jakikolwiek sposób krajowy rynek pracy. Ono jedynie przesunęło satysfakcję i wynagrodzenie. Ot i wszystko.

Powiecie, że w ten sposób wspomagamy bardziej pilne, bardziej moralne i bardziej rozsądne potrzeby i prace. W tej kwestii również się nie zgadzam. Powiem w ten sposób: zabierając podatnikom sześćdziesiąt tysięcy franków, zmniejszacie zarobki rolnikom, cieślom, kowalom, i o tyleż samo zwiększacie zarobki śpiewaków, fryzjerów, dekoratorów i krawców. Nic nie dowodzi tego, by ta druga klasa była bardziej godna uwagi niż pierwsza. Pan de Lamartine tego nie twierdzi. Sam mówi, że praca teatrów jest równie płodna, równie produktywna (a nie bardziej) jak każda inna, choć takie stwierdzenie można zakwestionować. Najlepszym dowodem na to, że ten drugi rodzaj działalności nie jest równie płodny jak pierwszy, jest fakt,

że ten ostatni musi finansować pierwszy.

Nie chcę jednak skupiać się tutaj na porównywaniu wartości i istotnej zasługi różnych rodzajów zawodów. Pragnę za to wykazać, że jeżeli pan de Lamartine i jego poplecznicy lewym okiem dostrzegali dochody, jakie zyskiwali aktorzy, powinni byli prawym okiem zauważyć stracone zarobki płatników podatków.

Z tego względu narazili się na śmieszność, biorąc przesunięcie dochodu za dochód. Gdyby byli konsekwentni w swym rozumowaniu, domagaliby się dotacji w nieskończoność, gdyż to, co jest prawdą dla jednego franka i dla sześćdziesięciu tysięcy franków, prawdą też będzie, w identycznych okolicznościach, dla miliarda franków.

Panowie, kiedy idzie o podatki, udowodnijcie ich pożyteczność, opierając się na rozsądnych argumentach, a nie na błędnym twierdzeniu, że „publiczne wydatki dają utrzymanie klasie robotniczej”. To niesłuszne założenie ukrywa istotny fakt, że wydatki publiczne dokonywane są zawsze zamiast wydatków prywatnych, a co za tym idzie, dają utrzymanie jednemu pracownikowi zamiast drugiemu, ale w żaden sposób nie poprawiają losu wszystkich robotników jako całości. Wasza argumentacja jest bardzo modna, lecz zbyt absurdalna, by dopatrzeć się w niej racji.

Autorstwo: Frédéric Bastiat

Źródło: Prokapitalizm.pl

Bibliografia

Frédéric Bastiat – „Co widać i czego nie widać” w: Dzieła zebrane t. 1, Warszawa 2009, Wydawnictwo Prohibita.